

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

**Wywiad z Pawłem PLUTĄ (z Konina)
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Poznaniu, dn. 26 czerwca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu” oraz „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945-1989 ze szczególnym uwzględnieniem stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Wywiad przeprowadzony w obecności Krzysztofa Płoszewskiego

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Nazywam się Paweł PLUTA.

Gdzie i kiedy Pan się urodził?

Urodziłem się 6 maja 1948 roku w Kaliszu.

Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny. Kim byli Pana rodzice, jaki wykonywali zawód?

Moja matka pochodzi z Pleszewa, ojciec z Kalisza. Ojciec był z zawodu inżynierem mechanikiem, pracował jako nauczyciel w technikum górniczym w Koninie. Mama nie pracowała, zajmowała się prowadzeniem domu. Ja mam starszego o rok brata, Macieja.

Pana rodzice mieszkali w Pleszewie?

Moi rodzice po powrocie, matka z robót, ojciec z niewoli w Niemczech, w 1947 roku, zamieszkali w Kaliszu. Po czym ojciec został służbowo przeniesiony do Kościana i w Kościanie zamieszkiwaliśmy od 1952 do 1966 roku. Ojciec był nauczycielem w zasadniczej szkole zawodowej metalowej w Kościanie. Był kierownikiem warsztatów. W tym czasie skończył wieczorowo Politechnikę Poznańską i później, od 1966 roku zaczął pracować jako kierownik wydziału dla pracujących w technikum górniczym w Koninie.

Czy rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność, bądź to społeczną, bądź opozycyjną, bądź polityczną?

Ojciec spełnił swój obowiązek jako żołnierz w kampanii wrześniowej. Dostał się do niewoli, początkowo sowieckiej. Potem, bodajże w 1940 roku, został wymieniony na Bugu, przeszedł na stronę niemiecką i ostatecznie znalazł się w stalagu XIII A w Bawarii, do czasu wyzwolenia. Natomiast mama pochodziła z takiej rodziny o tradycjach patriotycznych, w każdym razie mocno zaangażowanej społecznie i cała ta rodzina została zatrzymana i wywieziona z Pleszewa, początkowo do Poznania, do takiego

obozu przejściowego Poznań Główna i z tego obozu do obozu w Łodzi, skąd rodzinę rozparcelowano po różnych miejscach, w tym na roboty przymusowe do Niemiec i tutaj przebywała do końca wojny. Moi rodzice pobrali się w lipcu 1945 roku w Regensburgu. To jest miejscowość w Bawarii nad Dunajem.

A w PRL-u byli zaangażowani w jakąś działalność społeczną?

Ojciec jako nauczyciel miał dużo pracy. Matka też, prowadziła dom.

A czy należeli do jakiejś partii? PZPR-u...?

Mój ojciec miał na pewno poglądy lewicowe. Z tego co wiem, zapisał się do partii w 1963 roku, po czym go usunięto, bo, nie wiem, musiał się niewłaściwie zachowywać. Potem był jakiś okres, że miano go przywrócić. Ale mój ojciec nigdy nie był aktywistą, nie zajmował żadnych kierowniczych stanowisk, jak sekretarz, czy podobnych...

Jakie wartości w Pana domu rodzinnym były szczególnie ważne? W jakim duchu był Pan wychowany?

W duchu..., że trzeba być porządnym człowiekiem. To [było] najważniejsze. Mój ojciec był człowiekiem bardzo wymagającym wobec siebie no i wobec nas, swoich synów. Ojciec, pamiętam (nie żyje już niestety od 20 lat), nie pił. To był wręcz wróg alkoholu i wróg palenia papierosów. Natomiast jego zainteresowania to były sporty wodne, a więc kajakarstwo, żeglarstwo. Ojciec sam zbudował kajak, na którym za pomocą takiego silniczka przyczepnego z boku kajaka (silnik nazywał się Warta) odbyliśmy w 1960 roku rejs z Kościana do Warty, Wartą do Gopła, Gopłem do Bydgoszczy, z Bydgoszczy do Gdańska i z powrotem. Tak że nasze wychowanie to było takie wychowanie wodniackie. Szybko uzyskaliśmy kwalifikacje wodniackie oraz ratownicze. Przez pewien czas, jeszcze jako uczeń, pracowałem jako ratownik na basenie.

Skupmy się teraz na Pana osobie. Czy należał Pan do jakichś organizacji społecznych, młodzieżowych, kościelnych?

Jak tylko się odrodziło harcerstwo, od 1958-9 roku już uczestniczyłem w obozach harcerskich. Należałem do I Drużyny Harcerzy im. Jana III Sobieskiego w Kościanie i muszę powiedzieć, że to była drużyna, do której przed wojną należał Florian Marciniak. Mieliśmy wspaniałego drużynowego, Tadeusza Ścigacza. Tych kolegów bardzo miłe wspominam. Bardzo aktywna, dobra drużyna. Trzeba się było tak zachowywać jak prawo harcerskie nakazuje.

Czy mógłby Pan pokrótce opisać swoją drogę edukacji?

Szkołę podstawową ukończyłem w Kościanie. Wtedy to była szkoła siedmioklasowa. Potem ojciec mówił, że synowie muszą mieć konkretny zawód, pewną przyszłość i pracę. No i wybrał dla nas taki kierunek mechaniczny w technikum kolejowym w Poznaniu. Poszedł tam brat do klasy silników spalinowych, tak to się nazywało. Potem, za rok - ja. Brat ukończył to technikum. Ja, po trzeciej klasie, w związku z przeprowadzeniem się rodziców do Konina, kontynuowałem to w klasie mechanicznej, w technikum górniczym w Koninie, i ukończyłem to technikum górnicze.

Potem studia?

Tak. Wybrałem sobie Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, z czego jestem naprawdę bardzo zadowolony, że trochę się oderwałem od domu. To wymagało ode mnie dużo samodzielności, żeby się tam ulokować. Ja, muszę się przyznać, trochę z zazdrością patrzyłem na moich kolegów, synów robotników, którzy, jak to wtedy oceniałem, mieli wszystko. Mieli stołówkę, mieli akademik, mieli stypendium. Ja jako

syn inteligenta (ojciec nieźle zarabiał w tym technikum górniczym) tego nie miałem. Ja dostawałem 1500 zł od rodziców i to mi się jakoś szybko rozplętało. Musiałem się naprawdę gimnastykować, żeby koniec z końcem związać. Uważam to za bardzo dobrą szkołę. Poznałem tam bardzo wielu ludzi. Nawet miło wspominał tych gospodarzy, u których mieszkałem. Co prawda parę razy zmieniałem [mieszkanie], ale pod koniec [studiów] już wiedziałem, jak się poruszać, gdzie są ośrodki decyzyjne. Miałem już i akademik i stołówkę, i załatwiłem sobie stypendium fundowane, bo wprowadzono wtedy taką formę stypendiów fundowanych. Ukończyłem studia, poszedłem do pracy.

Pracował Pan w Koninie?

Pracę dyplomową zrobiłem w Zakładach Naprawczych Węgla Brunatnego FUGO z odlewnictwa staliwa. Tam już pracy nie kontynuowałem, tylko przeszedłem do Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Legnicy. Tam pracowałem przez pewien czas. Potem, można powiedzieć, podkupiono mnie do takiego renomowanego wtedy zakładu, do huty, która istniała 220 lat, do huty Mała Panew w Ozimku na Opolszczyźnie. I to dopiero była bardzo dobra praktyka zawodowa. I to sobie cenię, że w tej hucie pracowałem. Tam byłem parę lat. Miałem bardzo ciekawą pracę, bo pracowałem w pracowni analizy jakości. Miałem wgląd w cały proces technologiczny huty, we wszystko. Miałem bardzo dobrego szefa, pana Szegę, który mi wiele przekazał. Tak że miałem szczęście.

Kiedy Pan wrócił do Konina?

Do Konina wróciłem w 1978 roku. Podjąłem pracę w dziale głównego mechanika w Hucie Aluminium. Przyszedłem z pewnym bagażem doświadczeń, znałem się trochę na walcach stalowych, tak że z tą wiedzą przyszedłem do huty, która wtedy kończyła rozbudowę walcowni.

Kiedy i gdzie rozpoczął Pan działalność opozycyjną?

Trudno powiedzieć, że bym ja był opozycjonistą. Moim marzeniem było awansować, zająć jakieś kierownicze stanowisko w hucie. I tym się, powiedzmy, zajmowałem. Wiedziałem, że trzeba zdobyć odpowiednie doświadczenie oraz [wykształcenie]. W międzyczasie ukończyłem studia podyplomowe, i na Politechnice Śląskiej i na AGH oraz podjąłem studia na Akademii Ekonomicznej, takie studia z zakresu ekonomii dla inżynierów.

Tutaj w Poznaniu?

Tak, to już [było] w Poznaniu. [Studiowałem] pracując w Hucie Aluminium. Na Politechnice miałem szczęście, te studia podyplomowe [robiłem] u profesora Sakwy i u Adama Gierka, syna I Sekretarza. Uważam, że to [był] niezły inżynier metalurg.

Ale w którymś momencie Pan się zaangażował w działalność opozycyjną?

Ja się zaangażowałem w działalność opozycyjną w zasadzie, jak powstała Solidarność.

Po Porozumieniach Sierpniowych...

Tak. Wcześniej czułem, że to już nie idzie. Przyznaję się, że ja początkowo, do połowy lat 70-tych, byłem bardzo zadowolony z tego, co się w Polsce dzieje. Uważałem, że ten kraj się zmienia. Zobaczyłem budowę Huty Katowice, znałem mniej więcej program modernizacji polskiego hutnictwa, wiedziałem o co tam chodzi i jak to ma wyglądać w przyszłości. Ten program likwidacji hut surowcowych, powstanie jednej wielkiej huty surowcowej i robienie przetwórstwa uważałem za bardzo rozsądny. To wszystko było

bardzo logiczne, tylko niestety to przekleństwo, że myśmy nigdy tego do końca nie przeprowadzili. Wtedy uważałem, że trzeba pracować, kształcić się i służyć Polsce.

Po Porozumieniach Sierpniowych przystąpił Pan do Solidarności, do związków zawodowych?

W 1978 czy 79 roku byłem instruktorem harcerskim. Pełniłem funkcję pilota drużyn wodnych w Komendzie Chorągwi w Koninie. Wyłynęliśmy na taki rejs, nazywał się „Wiślane wici”. To był rejs Wisłą z Krakowa do Gdańska. To było zaplanowane na dwa lata. Wtedy przyglądałem się tej młodzieży. Oni już jawnie występowali przeciwko tej władzy. Te piosenki, które tam śpiewali, to nabijanie się z komuny itd. Wtedy do mnie dotarło, że tych zmian, tego sprzeciwu, nie da się opanować, że to za chwilę się samo rozleci. Ja miałem takie przekonanie. Takie rozmowy żeśmy prowadzili. Uważałem, że niewiele trzeba, tylko czekać do odpowiedniego momentu. Jak się rozleci, to trzeba się zaangażować. I tak właściwie się stało. Ludzie mieli dosyć. Rozleciało się i nikt tego specjalnie nie bronił.

Jaką funkcję Pan pełnił w nowo powstałej Solidarności?

Natychmiast jak tylko powstała w hucie Solidarność, (wszyscy w hucie dobrze się znali, jeden drugiego nie oszukał) stało się tak, że ja zostałem wybrany na przewodniczącego Komisji Wydziału Zaplecza Technicznego w Hucie Aluminium w Koninie. Zaplecze techniczne to, trzeba też powiedzieć, było takie zaplecze intelektualne. To byli ludzie: dział głównego mechanika, dział głównego energetyka, dział głównego automatyka, wydział remontów – to była elita tej firmy. Myśmy mieli jakieś znaczenie. Do naszej komisji należał również zakład badawczo-rozwojowy i laboratoria. To była bardzo silna intelektualnie grupa. Jest mi przyjemnie, że mogłem wówczas przewodzić tym ludziom, i że oni mnie wybrali na swojego przewodniczącego. Z tej racji znalazłem się w Komisji Zakładowej. Raz byłem na zjeździe Regionu i tam zostałem wybrany przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Regionu.

Czy mógłby Pan opisać pokrótce Pańską działalność w tym czasie „karnawału Solidarności”?

Mieliśmy do załatwienia wszystkie sprawy, które wtedy wychodziły. Była duża dyskusja nad statutem związku, rejestrowanie tego statutu, ciągłe obrady. To trzeba było niestety pogodzić z pracą zawodową, a odrywanie się od pracy zawodowej nie było mile widziane, bo ludzie już mieli dosyć takich zawodowych działaczy.

Czyli nie został Pan oddelegowany do pracy w związku tylko jednocześnie ciągnął Pan jedno i drugie?

Tak.

Czy podejmując tę działalność miał Pan świadomość jakichś potencjalnych represji?

Nie. Wtedy myśleliśmy, że przejmujemy władzę. Znaczenie Komitetu Zakładowego bardzo podupadło, byli wypierani i pewnie chętnie by tę władzę zdali. Ja tam nie widziałem w hucie, żeby się tak trzymali. Jednak to była poważna erozja aparatu partyjnego. Oczywiście myśmy byli obserwowani. Był opiekun ze strony służby bezpieczeństwa, który ciągle notował, obserwował, miał pewnie swoich informatorów. Był taki Palatyński, on ciągle przesiadywał w takiej powielarni u Leszka Świdzińskiego. Chadzał do dyrektorów. Kierownicy wydziałów pewnie swoje opinie głosili, aczkolwiek muszę powiedzieć, że moi szefowie - inżynier Draga, inżynier Duda, zachowywali się bardzo przyzwoicie.

Czyli rozpracowywali was, obserwowali, ale nie było jakiejś interwencji.

Akurat kolega Franczak, z którym miałem dobre relacje, był I Sekretarzem wybranym według tej odnowy. W każdym razie mogłem z nim porozmawiać, aczkolwiek uważałem go za człowieka takiego niezbyt zrównoważonego, którego było stać na wszystko.

Przejdźmy teraz bezpośrednio do okresu stanu wojennego. Mieszkał Pan w Koninie?

Tak! Mieszkałem w Koninie.

Jaki był Pana stan cywilny w tym czasie?

Żonaty, dwoje dzieci.

Wykonywał Pan ten sam zawód? Czyli do stanu wojennego nic się nie zmieniło?

Tak, tak. Dla mnie stan wojenny to było bardzo ciekawe... W Koninie była akcja protestacyjna w sprawie przejęcia budowanego budynku Komendy Wojewódzkiej Milicji na szpital. Komitet protestacyjny miał swoją siedzibę w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Koninie, w świetlicy. Tam się przeniósł Zarząd Regionu na okres tego protestu. Ja poszedłem tam 12 grudnia wieczorem odwiedzić tych protestujących. I byłem świadkiem likwidacji tej grupy protestujących. Milicja po prostu wjechała i wyprowadziła tych ludzi, zatrzymała. A że gwarantami tych protestujących były załogi zakładów pracy, więc ja nie miałem nic innego do roboty, jak tylko natychmiast zawiadomić załogę w hucie. Przedostałem się do huty (noc, mróz wtedy był dosyć silny) i dotarłem z tą wiadomością. Doprowadziłem do zawiadomienia przewodniczącego Komisji Zakładowej. Posłaliśmy hutniczą karetkę pogotowia. Pojechała, kierowca przekazał wiadomość. Żona tego przewodniczącego wygoniła go z tą wiadomością, gdyż zależało jej na tym, aby mąż był dobrze wyspany, bo następnego dnia miała się w kościele odbyć uroczystość poświęcenia sztandaru Solidarności.

W kościele u św. Wojciecha?

U Kolbego. Odbyła się ta uroczystość, poświęcono ten nasz hutniczy sztandar, mimo tego, że został ogłoszony stan wojenny. ...to się dopiero zaczęło. Moje przekazanie wiadomości, moje pojawienie się, doprowadziło do tego, że rozpoczął się strajk. W końcu przybył ten przewodniczący Komisji, przybyli inni członkowie Prezydium Komisji Zakładowej. Pojawił się dyrektor techniczny Domagała, przywiózł tekst, afisz, z dekretem o stanie wojennym. Poprosił mnie, abym odczytał ten dekret. Ja go odczytałem. Potem przedstawiłem swój komentarz: że „dotychczas myślałem, że mamy do czynienia z jakąś sprawą lokalną, no tu już jest rozwiązanie siłowe”. Uważałem, że nie ma co ryzykować, to znaczy, należy protestować i czekać, dowiedzieć się, co [zrobia] inne zakłady. Ale gdzieś koło południa 13 grudnia mieliśmy wiadomości, bo mimo zablokowania połączeń pocztowych huta miała jeszcze połączenie po liniach wysokiego napięcia, połączenie bezpośrednie z kopalnią. Pewnie się tam pojawili ubeki... W każdym razie [to] były takie dziwne rozmowy. Oni zorientowaliśmy się, że są skrupowani w rozmowie. Dowiedzieliśmy się, że [wszystko] jest już opanowane, że wszędzie jest, jak to oni mówili, spokój. Elektrownia pracuje, kopalnia pracuje, inne zakłady pracują.

W związku z tym wy też...

Ten strajk trwał jeszcze w poniedziałek, ale faktycznie ludzie przerwali pracę. Oczywiście dyrektor cały czas [mówił] przez megafon swoje teksty i wezwania do opuszczenia zakładu, bo na teren huty przyszły jednak osoby z innych zakładów pracy.

Chciały poprzeć [hutę], ale potem wszystkie portiernie były już obstawione. Ja dostałem od swojego kolegi, nawet od swojego szefa informację, żebym absolutnie nie wychodził przez bramę, bo tam już jest człowiek, który ma mnie wskazać i ubeki mnie zatrzymają. No i [uciekłem] przez płot. Ja, mówię, całą noc nie spałem, w noc z 12 na 13 grudnia cały czas byłem na nogach. W każdym razie zamelinowałem się, już do domu nie wróciłem. Poszedłem do znajomych, oni mnie tam przechowali. Jeszcze wróciłem do huty, znowu przeskakując przez płot, żeby mnie na portierni [nie zatrzymali]. To było wielkie zdziwienie, że znowu się pojawiłem na terenie zakładu. Dostawałem informację: „dlaczego, jak on się tu dostał?” I kolejne ostrzeżenie: „Uważaj, oni tu nie przyjdą (bo trochę się bali na terenie zakładu), ale na portierni cię zgarną.”. No i znowu musiałem [uciekać] przez płot, do lasu.

Czyli jednocześnie Pan się ukrywał i pracował w zakładzie?

O pracy już nie było mowy. Trwał taki, można powiedzieć, protest. Jedni udawali, że pracują, inni w ogóle nie pracowali. Członkowie Komisji Zakładowej obchodzili poszczególne wydziały. Gdzieś z Wolnej Europy żeśmy słuchali jakieś wiadomości [na temat tego,] co się dzieje. No, co robić? I skończyło się to tym, że wieczorem, na teren huty, na wydział elektrolizy wjechało ZOMO.

Kiedy to było?

To było w poniedziałek 14 grudnia.

Spacyfikowali...?

Nie, oni nic nie zastali, bo wiara tak się pochowała. Tam gdzieś, kogoś, może jakiegoś śpiącego wyciągnęli... Natomiast była decyzja, żeby [zakończyć strajk]. To już był wieczór. I ja już byłem tak śpiący po tej nieprzespanej nocy, że przy podejmowaniu tej decyzji o zakończeniu strajku, to ja byłem nieobecny. Natomiast konsekwencje tego strajku ponieśli Zbyszek Ładosz, [który] był wiceszefem Zarządu Regionu i Jerzy Jarzyński, który był przewodniczącym Komisji Zakładowej. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia w trybie szybkim sąd skazał ich na karę więzienia. Dostali bodajże trzy lata. W każdym razie przynajmniej rok odsiedzieli. Początkowo było tak, że rodziny, przynajmniej jedna z żon tych panów, miała do mnie wielkie pretensje, że to niby ja miałem być tym prowokatorem, który zorganizował strajk, a nie poszedł siedzieć. No, ale ja się nie dałem złapać.

Czyli zaczął się Pan ukrywać?

Tak!

Jak długo to trwało? Gdzie się Pan ukrywał?

Huta Aluminium nie była wyznaczona jako zakład do militaryzacji, bo były tzw. zakłady zmilitaryzowane. W regionie konińskim tymi zakładami do zmilitaryzowania była elektrownia i kopalnia. Natomiast huta została zmilitaryzowana zarządzeniem wojewody czy kogoś, dopiero 1 stycznia 1982 roku. I po wprowadzeniu tej militaryzacji, czyli zamiany stosunku pracy na służbę wojskową, czyli wykonywanie każdego polecenia (tak jak rozkaz w wojsku, żeby lepiej zarządzać), dyrektor huty, wtedy Roman Łopata, gdzieś około połowy stycznia, postanowił mnie zwolnić. Z tym że ja na tyle byłem, że tak powiem, cwany, że ja po tym strajku otrzymałem zwolnienie lekarskie. Czyli formalnie byłem na zwolnieniu lekarskim. No, ale ten lekarz powiedział: „Dwa tygodnie, ale już więcej nie mogę dać.”. I niezależnie od tego, czy byłem na zwolnieniu, czy nie, ten dyrektor postanowił mnie zwolnić. I zwolnił mnie z pracy. I wtedy nadal się ukrywałem, bo myślałem, że mnie po prostu zamkną. Tak to trwało gdzieś tak do połowy lutego,

może cały luty. Wtedy postanowiłem wyjść. Nikt się mną nie interesował. Widzę, że tu żadnej...

...akcji, nagonki nie ma...

...nie będzie. Wiedziałem już, że jestem zwolniony, no to się zgłosiłem do PCK. Miałem tam znajomą, panią Szłapińską, która była jakimś kierownikiem działu. To była żona takiego ordynatora oddziału urologii ze szpitala konińskiego. Zaczyna pan doktor. Ci ludzie znali moich rodziców, postanowili pomóc. No i na ryzyk-fizyk przyjęli mnie do pracy w PCK, bo nagle PCK otrzymało bardzo dużo różnych darów. A jednocześnie w tym czasie, trzeba pamiętać, w konińskim była duża powódź. Mróz, powódź. W każdym razie były takie problemy. Można powiedzieć, że klęska żywiołowa związana z powodzią. I ja tam pomagałem przy dystrybucji tych darów. Muszę powiedzieć, że starałem się o kolegów i znajomych, zwłaszcza tych, którzy poszli siedzieć. Starałem się, żeby niczego im nie brakowało. Po jakimś czasie okazało się, że trzeba więcej ludzi. Kolega Wiesław Wysocki zaczął tam ze mną pracować. Zaczęli nas wzywać na bezpieczkę. Takie rozmowy: „O, widzi Pan, Panie Pawle, myśmy Panu darowali, my tu do Pana nic nie mamy, po co Pan tu ma nosić te paczki w PCK, my tu mamy dla Pana lepszą ofertę, Pan rozumie.”. A ja mówię, że ja nic nie rozumiem. W każdym razie nie byłem taki skłonny z nimi rozmawiać. Mówię, że „poszłicie na siłę, to żadnych rozmów”. I w maju tak się zdarzyło, że przyjechali tam do tej pracy. Byliśmy w jakimś magazynie. Temu Wiesławi Wysockiemu i mnie założyli kajdanki na łapy, wsadzili do poloneza, zawieźli na komendę. Akurat ten, który mnie obrabiał, ten ubek, nazywał się Jan Dworak, przyniósł kopertę. Z tej koperty wyciągnął decyzję o internowaniu i mówi: „Pan podpisze!”. Ja mu to cofnąłem i mówię: „Sobie w dupę to wsadź, ja tutaj niczego nie podpiszę.”. No i byłem trochę tego, bo kolega, który naprzeciwko mnie siedział mówi: „Paweł, to i tak nic nie da.” i wziął, trzęsącą się ręką podpisał. Ja mówię: „Wiesiu, no nie, nie podpisuj.”. Za chwilę przyszedł lekarz, którego znałem, Tomaszewski, no i przeprowadził badania lekarskie. Kazał się rozebrać do połowy. Ja mówię: „To pan doktor Mengele?”. A on: „No nie, Pan mnie obraża.”. Potem wyprowadzili nas do aresztu, właściwie do takiego pomieszczenia przed celami. Tam już zobaczyłem kolegów. „No to – mówię - już jest ich więcej.”

A jaki był powód Pana zatrzymania?

„Podejrzewany o prowadzenie działalności godzącej w podstawowe interesy PRL”. Podejrzewany... Potem, siedząc w Mielęcinie, oczywiście napisałem skargę na tę decyzję o internowaniu. Oni mi odpisali, że „nie ustały przyczyny”, to znaczy oni mnie nadal podejrzewają. Czyli moje postępowanie absolutnie nie miało żadnego znaczenia, bo oni mnie nadal podejrzewają. Tak że nie miałem żadnego wpływu na wyjście. Sam pobyt [w więzieniu] to jest oddzielna historia, można by dużo opowiadać jak to wyglądało.

Proszę, choćby w skrócie, opowiedzieć.

Ja o sobie mówię. Ja to wszystko bardzo lekko przeżyłem, dlatego że byłem zahartowany opowieściami swoich rodziców z ich przeżyć, z obozów, z łagrów. Odnosiłem to, co mnie spotykało do ich przeżyć, ich warunków. Tak że ja nie miałem prawa narzekać, bo w trakcie internowania na pewno nie brakowało jedzenia, nie było zimno. W ogóle warunki [były] nieporównywalne. Również byłem karmiony opowieściami [wujka]. Brat matki przeżył Dachau - siedział tam przeszło 5 lat. Dlatego moich kolegów trochę denerwowało, jak ja tak trochę beztrosko [przeżywałem internowanie]. Byliśmy zamknięci, ale warunki jakie ja odnosiłem do przeżyć swoich rodziców... Mi to bardzo pomogło, te ich przeżycia.

Czy ten pobyt w obozie internowania w Mielęcinie nie odbił się na Pana zdrowiu, czy to fizycznym, czy to psychicznym?

Odbił się. Psychiczenie, jak mówię, lekko to zniosłem. Natomiast zachorowałem. Zachorowałem na grzybicę paznokci.

Jak to się stało?

Stało się to z powodu zbytnej dbałości o higienę. Jak zobaczyłem ten koc, którym mam się przykrywać, który mam w tę poszewkę ubrać, i zobaczyłem na tym kocu plamy jakiejś krwi, pot, śmierdzący od spermy i od tego wszystkiego, co najgorsze, to nie chciałem pod takim łachem spać. Żądałem nowego, nie poplamionego koca. Oni mówią, że nie mają, mają taki, jaki mają, a jak chcę, to sobie mogę wyprać. No to, mówię: „Proszę mi stworzyć warunki, abym mógł pracować”. „No to dobrze – mówią - to na spacerniku wyniesiemy Panu wannę.” I rzeczywiście przynieśli na ten spacernik taką cynkowa wannę, ja zabrałem ze sobą paczkę proszku.

A skąd Pan miał proszek?

Ten proszek miałem z paczki, którą otrzymywaliśmy z Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii, czy z austriackiego... W każdym razie Międzynarodowy Czerwony Krzyż... To była taka standardowa, pięciokilogramowa paczka dla wszystkich internowanych, w której znajdowało się pół kilo kawy, czekolada, mydło Palmolive, pasta do zębów, aparat do golenia, proszek do prania, jakieś ciasteczka. Dla mnie wtedy to była luksusowa rzecz, bo ja wcześniej takiego eleganckiego aparatu do golenia Gillette nie miałem. Dopiero tam się dorobiłem. W każdym razie do tej wanny wsadziłem ten koc, wsypałem proszek. No to wytworzył się taki żur, można powiedzieć. Ja chciałem to jeszcze jakoś wyprać rękoma. No i żeby jeszcze lepiej to wyprać, wszedłem do tej wanny i nogami tam... Skutek tego był taki, że gdzieś po dwóch tygodniach zaczęły mi odchodzić paznokcie. I u rąk i u nóg. Prawdopodobnie w ten sposób zaraziłem się jakąś grzybicą, która mocno zaatakowała mój organizm. Jak przyjechali przedstawiciele z Czerwonego Krzyża na wizytację, to ja im to pokazałem. Oni zażądali mojego leczenia. Rzeczywiście, wtedy ten naczelnik więzienia ściągnął ordynatora dermatologii ze szpitala MSW we Włocławku, bo byłem internowany w Mielęcinie koło Włocławka. To był taki duży zakład karny, który miał i betoniarnię i ramy do rowerów robili, szkołę, liceum - żeby więźniowie mogli się rozwijać. Nawiasem mówiąc w Mielęcinie mieli bardzo dobrą bibliotekę. Fajne książki. Można było sobie poczytać do wiwatu. W każdym razie paznokcie zaczęły mi odchodzić, zaczęły się kłopoty. Nawet jednego dnia wywieźli mnie na badania do tego szpitala, bo jakieś tam trzeba było pobrać. Ale moja sytuacja była trochę inna niż pozostałych internowanych, to znaczy ja przed internowaniem zostałem zwolniony z pracy. Przepisy były takie, że każdy internowany otrzymuje normalną pensję w zakładzie pracy. I tu chwala moim kolegom z huty, którzy nie pozwolili, abym pozostał bez środków do życia. Kolega Karczewski z wydziału mechanicznego zawsze przychodził z kolegą do moich rodziców i przynosili pensje, tak że ja nic nie byłem stratny. Faktycznie moja sytuacja finansowa nie pogorszyła się. Natomiast formalnie wówczas w stanie wojennym obowiązywały przepisy o obowiązku pracy. Każdy mężczyzna do 50 roku życia miał obowiązek pracować. Jeżeli pozostawał nieczynny zawodowo, to mu groziła, ja nie wiem, grzywna itd., itd. Ja taki byłem. Napisałem podanie do naczelnika więzienia, żeby mnie zatrudnił. Opisałem swoją sytuację, że jestem [bezrobotny], i żeby mnie zatrudnił do dowolnej pracy w zakładzie karnym w Mielęcinie. No i to się dopiero zaczęło! Ten naczelnik tu przychodził i mówił: „Co ja tu z Panem mam? Jak ja dam Pana do pracy, to będzie mi Pan demoralizował więźniów, będzie ich Pan uczył piosenek, jakiś tego, że nie chcemy komuny. Żeby w komunistycznym pierdłu takie rzeczy wyśpiewywali!?!”. No, oczywiście

ja mówię: „Proszę na piśmie.”. Potem się poskarżyłem aż do ministerstwa pracy. Ta korespondencja trwała chyba rok albo półtora. Ta moja choroba paznokci się rozwijała dosyć mocno i lekarz z tego szpitala MSW nie wiedział, co robić. Naczelnikowi więzienia nakazał, zapisał, aby Plucie wydawać dietę oraz dodatkowo galaretkę. Teraz to się wydaje nic takiego, ale wówczas to był produkt nieosiągalny. Nie można było tego zdobyć. No, a ja się domagałem tej galaretki i pytałem, dlaczego nie otrzymują. Naczelnik przyszedł i mówi: „Panie Pluta, już wysłałem samochód.”. W końcu mówi: „Panie Pluta, ja już cały przydział paliwa, jaki mam dla całego kryminalu wyjeżdżilem, a oni nie mogą tej galaretki załatwić. Gdyby Pan już wreszcie poszedł do domu.”. A ja mówię: „Panie naczelniku, czy ja się tu Panu wpięprzałem? To Pan mnie tu trzyma.”. A on na to: „To ja Pana trzymam? To myki Pana trzymają.”. „No to niech mnie Pan zwolni.”- ja na to. „Ja już im mówiłem, ale oni nie bardzo chcą.” Myśmy na niego mówili tata, a on się nazywał Tretyn - naczelnik tego więzienia. Wielu przekręcało nazwisko tego naczelnika.

Z innych jeszcze rzeczy to muszę powiedzieć, że uważałem, że ten czas należy wykorzystać. Wykorzystać! Jak wykorzystać? Na rozkład służby więziennej. Jedni mówili, że z klawiszami nie należy gadać. Jest ciepło, połowa czerwca, żar się z nieba leje, klawisz na tym spacerniku pilnuje i tak widzę, że sobie rozpina tę koszulę coraz bardziej... Już nie stanął, tylko sobie gdzieś na krzeselku siadł itd. Ja tak chodzę z panem Zbyszkiem Okońskim - 67 kroków w jedną stronę, w drugą, i widzę, że idzie ten naczelnik, jeszcze z zastępcą, i że kierują się w naszą stronę. Więc podszedłem do tego klawisza i mówię: „Tata idzie.”. Wstał, zapiął się, wszystko przepisowo, regulaminowo. Stoi wyprężony. Ten wyszedł zza rogu, ten zameldował- „obywatelu naczelniku, melduję”. Ten mówi: „tak, tak, tak, spocznij”. Tata poszedł, a klawisz do mnie podchodzi i mówi: „Dziękuję Panu, że mnie Pan ostrzegł – mówi - bo miałbym nieprzyjemności.”. Ja mówię: „Widzi Pan, trzeba współpracować.”. Ja kawy nie piłem, a w tej paczce mieliśmy z pół kilograma kawy, takie dwie [paczki] po 250 g. To była taka kawa, którą ja wtedy pierwszy raz widziałem, że w takiej formie może być kawa. Ona była mielona i vacuum pakowane. Ja wcześniej nie widziałem, żeby tak kawę..., może w Pekao... Ja kawy nie piłem, więc to nie miało dla mnie specjalnej wartości. No, ale skoro jestem w tym pierdłu... Dowiedziałem się, że oni mają dentystę. Tak czułem, że trzeba zrobić porządek z [uzębieniem]. I zapisałem się do dentysty. Rzeczywiście, zaprowadzili mnie do dentysty. „Dzień dobry, Panie doktorze...”. Powiedziałem, że jestem internowany. „No nie, Pan nie gada...” „Ale - ja mówię - przecież muszę się przedstawić i powiedzieć doktorowi, co mnie boli.” W każdym razie doktor bardzo chętnie mnie [przyjął]. A ja już miałem te kawy, więc mówię: „Panie doktorze, to dla Pana.”. A on: „Nie chce, Panie...”. Ja mu mówię: „Ja nie piję, to co, zmarnuje się?”. „No dobra – wzięł - ale ja Panu porządną plombę, to za tydzień proszę.”. I rzeczywiście byłem tam u niego parę razy. Raz nawet przeżyłem chwilę grozy. Tam u tego dentysty była taka niby poczekalnia na tym szpitalnym pawiloniku. Wpuścili mnie do tej poczekalni. Za chwilę mi tam wpuścili takiego kryminalka z takimi tatuażami na czole, na pysku. Jak ja go zobaczyłem, to dostałem stracha. Myślałem, że mi co zrobi. Taki oprych rzuci się na mnie. A on mówi: „Masz papierosa?”. A ja za cholerę, sam niepalący, mówię: „Nie, nie mam.”. Zaczął coś mówić sam do siebie. Czekałem, kiedy mi wreszcie otworzą i mnie wypuszczą. Ale naprawdę, niektóre typy w tym więzieniu to po prostu strach. Ja nie wiem, co on tam komu zrobił, ale musiał być taki dobrze zdegenerowany facet. Potem zaczęli mi proponować przepustkę (te problemy z galaretką). Ja zdecydowanie odmawiałem. Bo co? Ja mam przyjść za tydzień, pukać w bramę, że proszę mnie z powrotem wpuścić, bo chcę siedzieć? Mówię: „Czyście wy na łeb upadli? Nie skorzystam. Albo zwolnienie albo będę tutaj siedział.”. Doszło do tego, że pod pozorem, że już wysyłają, że to, że tamto, w końcu poszedłem na tę przepustkę.

No, ale jak rodzinka zobaczyła te moje paznokcie itd., do szpitala. Tam, w szpitalu w Poznaniu, na dermatologii, na ulicy Szkolnej mnie zatrzymali. I wtedy miałem chirurgicznie usunięte wszystkie płytki paznokciowe u rąk i u nóg. Tę operację przeprowadzono na dwa razy. Raz dostałem narkozę i zdjęli mi paznokcie u rąk. Potem za tydzień mieli mi zdjąć u nóg. I przy tej drugiej narkozie dostałem zapaści. Muszę powiedzieć, [że] to wszystko było dla mnie bardzo nieprzyjemne, [a] jeszcze bardziej denerwujące dla doktorów, którzy naprawdę byli wobec mnie serdeczni. Potem ta pani ordynator nawet mnie ochrzaniła, że jej narobiłem tyle problemów. Naprawdę bardzo dobry człowiek, nazywa się Maria Dzierżyńska. Była jednocześnie i dermatologiem i anestezjologiem. Powiedziała, że dla chirurgów zdjęcie tych płytek paznokciowych to jest pryszcz. „Oni do tego nie podejną poważnie, a to wszystko trzeba wyskrobać itd., to ja Panu zrobię znieczulenie.” Jak się obudziłem z tej narkozy, słyszę głos żony: „A mówiłam, że znieczulenie to jest poważna sprawa.”. No i tak to się skończyło.

Jeszcze jedna była w szpitalu taka bardzo miła sytuacja. Początkowo się zdenerwowałem, bo widzę, że na korytarzu stoi ubek z komendy konińskiej, bodajże Nowaczewski, nie wiem - kapitan, major. No więc ja pielęgniarkom powiedziałem, że to jest ubek, że pewnie po mnie. Więc one, że „my tu nie pozwolimy Pana ruszyć, tu jest wyjście ewakuacyjne...”. Plan ucieczki i wszystko przygotowały. No i ten ubek stoi. Te lekarki też się dowiedziały i pytają go: „A Pan tu w jakiej sprawie?”. A on, że do ordynatora. „Ale ordynator jest zajęty i proszę czekać.” W każdym razie dały mu skruszeć. Ordynatorowi też powiedziały, że to jakiś extra gość. Ten ordynator, doktor Nowak, dał sobie czas. W każdym razie te lekarki bardzo go obserwowały, bo nie wiedziało się, jak się ten szef zachowa. Wiedziały, że on do Solidarności nie należy, on taki dosyć sceptyczny był do tego co się dzieje, niewiele się wypowiadał. W każdym razie on tam podszedł i mówi: „Proszę Pana, ja jeszcze mam pacjentów.”, jeszcze to, jeszcze jakieś opatrunki... Myślę, że ten ubek jeszcze ze dwie godziny tam kruszał w tych przedpokojach. Nie chciał z nim rozmawiać. No i potem już relacje tych pielęgniarek, które podsłuchiwały... Wszedł w końcu do tego ordynatora i ta rozmowa miała wyglądać w ten sposób. Mówi, że „ja tu przyjechałem w sprawie Pawła Pluty, internowanego”. A ten Nowak mówi: „Wie Pan, to jest jakieś nieporozumienie, ja tu nikogo nie internowałem.”. „No tak, ale tu jest Pluta, zwolniony...” Ordynator pyta: „A Pan jest z rodziny?”. „Nie - on mówi - ja jestem ze służby bezpieczeństwa.” „Ale - mówi ordynator - my udzielamy informacji tylko prokuraturze i sądowi”. „Ale to jest to samo”- ubek na to. „Ja nie wiem - mówi ordynator - to musiałby Pan jakąś kartkę przynieść.” W każdym razie go spławił, tego ubeka. No i on mu zadał pytanie: „A jak on tu długo będzie?” „Proszę Pana, na pewno ani chwili dłużej niż potrzeba.” Systematycznie przysyłali mi do szpitala takie wezwania, żebym się zgłosił, początkowo do Mielęcina, a potem, jak już przenieśli tych moich kolegów do Kwidzyna, to że mam przyjechać do Kwidzyna. No i tam byłem w tym szpitalu pewnie do października. Wyszedłem, ale - wyobraźcie sobie - bez paznokci, zabandażowane [kończyny], w jakichś specjalnych kapciach, bo normalnych butów nie mogłem założyć. W każdym razie nie pojawiłem się na wezwanie, na komendzie milicji, ale oni też do mnie nie przyjeżdżali. Pewnie wiedzieli, czy jak, w każdym razie się nie otworzyli. Dopiero, już nie wiem, tak pod koniec grudnia, przed świętami...

Osiemdziesiątego drugiego?

Tak, osiemdziesiątego drugiego roku... Ja tam do nich z pyskiem, że nie mam tego zwolnienia [z internowania]. Muszę jeszcze powiedzieć jedną rzecz. Byłem wzywany na spotkanie jeszcze gdzieś tak przed majem, i była taka sytuacja, że u naszej koleżanki, Małgorzaty Modelskiej, przebywał szef regionu, Ryszard Stachowiak. I ja się dowiedziałem od kogoś, że w mieście są przeszukania, rewizje po domach. Robili taką

akcję przed tym naszym internowaniem. I polecałem ostrzec. Ale jak znalazłem się w mieście, patrzę, a tam ubeki, ten Dworak, Traciłowski... „Aaaaaa, następny jest!!! No to, proszę, Pan tu siada na fotelu, dowód osobisty!” itd. Wziął ten dowód osobisty i położył na stole. I mówi: „Tego nie będziemy spisywać, dobrze go znamy, nie?”. Położył ten dowód na stole. Zaczęli wyprowadzać po kolei z tego mieszkania. Przyjechał samochód, ładowali. Zrobił się kocioł. I był moment, że te ubeki opuściły ten pokój. Ja wtedy do tego stołu caps i ten dowód osobisty do fotela, tak z boku, wsadziłem. Za chwilę te ubeki: „No to teraz Plutę.” Ja tam komedię ładną odegrałem, bo się chwyciłem płotu, oni musieli mi gazem po oczach. Mówili: „Panie Pluta, niech Pan tego nie robi ...” No i mnie tam szarpali. I w końcu, jak już się nie dało wytrzymać od tego gazu, to mnie w końcu wsadzili do tego samochodu, ale tak śmierdziałem tym gazem, że łby trzymali za szybą. Zawieźli mnie na komendę. Tam mnie trzymali do wieczora. A to było gdzieś tak przed południem. Zaczął się ruch i w pewnym momencie [przyszli] do mnie i mnie rewidują. I mówią: „Nie ma.”. A ja już wiedziałem, o co chodzi. Już się domyślałem, że chodzi o ten dowód osobisty. No i w końcu: „Mirek, to który to ma? To jedź do niego do domu, to go ściągnij...”. I do mnie: „To jak to, Panie Pluta, to nie ma Pan dowodu?” Ja mówię: „Coście? Wzięliście dowód, a teraz w głupa ze mną gracie?”. W każdym razie zamieszania było dużo. Zrobiło się bardzo późno i oni mówią – „To niech Pan teraz już idzie do domu.”. A ja mówię: „Tak, to ja mam iść do domu, a wy mnie złapiecie za rogiem, że ja bez dowodu osobistego? Nie, nie idę.”. To oni mówią: „To Pana odwożą.”. No odwożą, no dobrze. No to się kazałem zatrzymać na początku mojego osiedla i mówię, że tu chcę wyjść. A on mówi: „Ale przecież Pan mieszka tam.”. „No tak – mówię - ale przecież nie mogę sobie na to pozwolić, żeby sąsiedzi powiedzieli, że mnie ubole odwożą do domu, bo ja się z tego nie wytłumaczę.” No i jak przyszło potem za parę dni do zatrzymania, to oczywiście żądali dowód osobisty. Ja mówię: „Co wy ze mną pogrywacie? Sami mi zabraliście, a teraz tego?”. I do Mielęcina mnie zawieźli bez dowodu osobistego. Tam się zaczęła komedia, bo szef tego więzienia mówi: „No jak to bez dokumentów, a jak my sprawdzimy?”. To on mówi: „Ja go znam.”. Tam trzeba było na początku wypełnić taką „kartę skazanego”, imię, nazwisko trzeba było podać. I mówią: „To teraz niech Pan to podpisze”. Ja mówię: „O nie, ja nie podpiszę.” „Musi Pan to podpisać.” „Nie, nie podpiszę, bo tu jest zafałszowanie. Proszę skreślić KARTA SKAZANEGO i napisać KARTA INTERNOWANEGO. Potem w telewizji pokażecie, że macie kartę skazanego. Nie!” I w pewnym momencie ten szef ochrony, jak już się zdenerwował na to wszystko, wyprowadził mnie. Wyprowadził mnie na taki korytarz, jeden zakręt, drugi, wyciągnął spluwę i mówi: „Ty gnoju, jak ty tu będziesz podskakiwał, to nie przeżyjesz. Tu cię wykończymy.”. I muszę powiedzieć, że mi wtedy dupa trochę zmiękła. Potem jeszcze wróciłem i on się pyta, jakie mam życzenia. A ja mówię, że „ja bym prosił o kabinę dla niepalących”. A on mówi: „Tak? Dostanie Pan!” I faktycznie trafiłem do celi dla niepalących i miałem ten luksus, bo jeden z kolegów, Paweł Okoński, tak narzekał, że niepalący, a siedział z palaczami. I dokuczało mu to.

W sumie ile miesięcy spędził Pan w Mielęcinie?

W Mielęcinie trzy miesiące.

W tym czasie jaki los spotkał Pana rodzinę? Czy ktoś się nimi opiekował?

W tym czasie miałem bardzo silne zaplecze rodzinne. Zwłaszcza moi rodzice bardzo pomagali. Syn mój był w Koninie, żona jeszcze w Ozimku. Jak to się odbiło na rodzinie? Za którymś tam z zatrzymań, jak mnie przesłuchiwali, w końcu mnie poinformowali, że zrobią u mnie rewizję. I faktycznie, pojechali na takie przeszukanie. I wpadł tam taki tabun, banda siedmiu, poczym, po jakimś krótkim czasie trzech się zwinęło, zostało czterech. Wiem, że jednym z nich był Wicberg, a jeden to był uczeń mojego ojca. Ten

Wicberg siadł przy biurku (potem ojciec opowiadał) szuflada po szufladzie, papierek po papierku przeglądał, spisywał do swojego kajetu. Drugi (taką ładną bibliotekę miałem) książkę po książce i tak jeszcze mówił, że ładna biblioteka. A ja miałem taki zwyczaj, że do książek wkładałem takie wycinki dotyczące [danego] tematu. Więc on - „a ile tu różnych wycinków”, itd. Mój synek był w pokoiku obok tego dużego pokoju i, jak mówił, nie spał. Wszystko to słyszał. Moja matka strasznie ich wyzywała od hitlerowców, gestapowców. A oni: „No, Pani Plutowa, niech już Pani nie tego...”, a ojciec mówi: „Panie, żeby ja wiedział, że Pan wbezpiece pracuje, to Pan by nigdy tej matury nie zdał. Przecież Pan był taka nędza.”, itd. A on na to: „Ależ Panie profesorze, już chyba taki zły nie byłem...”. Oczywiście przejrzeni piwnice. I ten mój Kamil, który dzisiaj jest fizykiem, pilotem, skoczkiem spadochronowym, fajny chłopak, po tej rewizji jąkał się pół roku. Wyobrażacie sobie? Pół roku! Tak ten dzieciak to przeżył. Jak ja sobie to dzisiaj wspominam, to dla niego to naprawdę było traumatyczne. Bo on sobie pewnie myślał, że mu zabiorą ojca, babcię, dziadka, nie wiem co... Tak że dla niego to było naprawdę bardzo silne przeżycie. Właściwie ja z nim nawet specjalnie o tym nie gadam. Potem on przyjeżdżał do mnie, do Mielęcina. Widzenia były na takiej świetlicy, kawiarniane stoliczki, cztery osoby mogły się: ojciec, matka, syn, no i ja. Z inne rodziny też tam posiadali. Nie wiem, ile to było takiego widzenia, z pół godziny, czy ile...

Ile syn miał wtedy lat?

On jest 74 rocznik, czyli osiem lat. I muszę powiedzieć, że to była taka sytuacja, że on mi takiego misia przyniósł, taką maskotkę, na to widzenie. Miał mi to dać, ale cały czas trzymał w ręku i w końcu, jak powiedzieli „koniec”, to wyszedł i zapomniał mi dać, a ja nie zdążyłem odebrać. No i wychodzili z tej świetlicy i jest taki moment, że my ich widzimy przez zakratowane okno, oni są na dworze, i on mi pokazuje tego misia. I ja mówię: „Chodź Kamil, podaj mi!”, a strażnik zaczął krzyczeć: „Nie wolno, nie wolno!”. A ja mówię: „On ma gówno do gadania, chodź tutaj!”. I wtedy on podszedł do tego okna, a reszta „brawo, brawo”. Ten strażnik zgłupiał, nie wiedział, co zrobić. To były takie małe przyjemności, które dawały trochę radości z tego siedzenia, że to, co powie ojciec, tego żaden strażnik [nie podważy].

Nie dał się zastraszyć?

Nie dał się zastraszyć!

Co się stało po powrocie z internowania? Czy miał Pan problemy w zdobyciu pracy, czy spotkały Pana jakieś inne represje?

Nie było mowy o powrocie do huty, mimo że ja się bardzo upierałem. A to by była opowieść na następne takie spotkanie. Ale jedną anegdotkę muszę opowiedzieć. Kierowano mnie złośliwie przez wydział zatrudnienia. Nawet mam taki dokumencik: „Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miejskiego w Koninie”. W dniu 2 sierpnia 83 roku dostałem skierowanie do pracy w Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Koninie na wolne miejsce laborant-asystent zgłoszone przez ten Sanepid. Otrzymałem tzw. skierowanie obligatoryjne. Miałem pracować w sekcji higieny pracy. Skierowanie obligatoryjne polegało na tym, że jeżeli osoba kierowana przez Wydział Zatrudnienia trzy razy nie została zatrudniona, a w końcu znalazł się taki pracodawca, który potrzebował takiego pracownika, to ten nie miał już wyboru, tylko tę osobę ze skierowaniem obligatoryjnym był zobowiązany, zgodnie z przepisami, przyjąć. Skoro złożył zapotrzebowanie, określił kwalifikacje jakie są wymagane, jeżeli osoba ta odpowiadała tym kwalifikacjom, to to było oblige. Musiał przyjąć. No i ja zgłosiłem się do tej stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Koninie. Dyrektorem tej stacji była pani lekarz medycyny Wiesława Jabłońska - Kasińska; w tym czasie na pewno mocno partyjnie

zaangażowana. Zresztą, to wszystko były stanowiska dyrektorskie, tzw. nomenklatura. Jak człowiek nie miał odpowiedniej przynależności, to nie mógł tam... Ona mnie mniej więcej znała, wiedziała, kto ja jestem, znała przynajmniej z widzenia. Jak otrzymałem to wezwanie, to zgłosiłem się już następnego dnia przed rozpoczęciem pracy tego Sanepidu. Już czekałem w tym sekretariacie. Doczekałem, pani dyrektor przyszła, rzuciła na mnie okiem i mówi: „A Pan co tu?”. A ja mówię: „Pani dyrektor, ja otrzymałem skierowanie do pracy u Pani.” „Pan? U mnie?” Ja mówię: „Pani dyrektor, mam zapotrzebowanie, Wydział Zatrudnienia dał mi to skierowanie.”. Ona mówi: „Ale ja teraz nie mam czasu z Panem rozmawiać.” „To – pytam- kiedy Pani dyrektor będzie miała czas?” „No - żebym przyszedł - gdzieś koło trzynastej.” No i przyszedłem. A tu chcę nadmienić, że zapotrzebowanie w tej sekcji higieny pracy było na osobę z wyższym wykształceniem technicznym. Na to ta pani dyrektor mówi tak: „Pan nie może być przyjęty tutaj do Sanepidu.”. Ja mówię: „Jak to, spełniam ten warunek, który Pani określiła.”, itd. A ona mówi: „Nieprawda, Pan nie ma wyższego wykształcenia technicznego.”. Ja mówię: „Jak to, przecież jestem inżynierem.”. A ona na to: „Pan ma wykształcenie akademickie. Pan ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą.”. Podała powód nie przyjęcia mnie do pracy i podpisała się pod tym ładnie, na co złożyłem skargę do Prezydenta Miasta, że wydał mi takie obligatoryjne skierowanie, które jest nie respektowane, a stan wojenny wprowadzono po to, aby ściśle przestrzegać prawo. I pani została ukarana. Ale taka mała! „Pan nie ma wykształcenia technicznego, Pan ma akademickie, bo ukończył Pan Akademię.”

I ostatecznie Pan tam pracował?

Nie, oczywiście że nie. Początkowo dawali mi takie złośliwe skierowania. Na przykład na magazyniera do centrali rybnej albo na robotnika drogowego, tego typu skierowania. Oczywiście ja nie chciałem być magazynierem. W końcu zdenerwowałem się i poszedłem na dyżur do posta Ziemi Konińskiej, posta na Sejm, Lecha Ciupy, który był wtedy I Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego w Koninie. Poczekałem sobie na dyżur. To już było po kolejnej akcji, kiedy miałem być kierownikiem warsztatów przyszpitalnych. Miałem kolegę, który tam był inżynierem, był kierownikiem ślusarzy, elektryków, mechaników, hydraulików. I odszedł mu tam kierownik warsztatu i mówi: „Wezmę cię na kierownika warsztatu.”. No i poszedł z moim podaniem do dyrektora szpitala, doktora Ziajki, i tenże doktor Ziajka mówi: „Co ty mi tu przynosisz? Przecież wiesz, co to jest za gnój. Dobra, to ja muszę iść do Komitetu Wojewódzkiego i spytać, co oni na to.”. Nie wiem czy był w tym Komitecie, czy nie był, w każdym razie po paru dniach mówi temu mojemu koledze kierownikowi technicznemu, że Komitet Wojewódzki nie wyraził zgody na to, żebym był kierownikiem warsztatu. Wtedy poszedłem na to spotkanie z panem posłem Ciupą. Oczekałem. On mnie znał, wiedział, kto ja jestem i „słucham”. Ja pytam: „Dlaczego Pan mi robi przeszkody w uzyskaniu pracy?”. A on mówi: „Jak to, ja?”. Że niby, co ja tu wygaduję. A ja mówię, że miała miejsce taka sytuacja, że „doktor Ziajka poszedł do Komitetu Wojewódzkiego spytać, czy wolno mnie zatrudnić, a Komitet Wojewódzki, czyli Pan, odmówił zatrudnienia”. „To jest nieprawda.” To ja mówię, że „albo dyrektor Ziajka kłamie albo Pan jest niedoinformowany”. A on mówi: „Co Pan w tej chwili robi?”. Ja mówię: „Jestem bezrobotny. No, a mam tutaj obowiązki rodzinne.”. „To proszę, dostanie Pan pracę.” „Ale - ja mówię - chodzi mi o to, abym dostał pracę w swoim zawodzie, bo miałem różne propozycje, ale były poniżające.” „Tak, dostanie Pan pracę w swoim zawodzie. Jaki ma Pan zawód?” „Mechanik, ostatnio pracowałem w hucie.” „Dobrze”. I rzeczywiście dostałem zatrudnienie jako kierownik działu technicznego w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Mleczarskich w Koninie. Muszę powiedzieć, że zawodowo to była dla mnie ciekawa przygoda. Jako AGH-owiec, człowiek po hutach, patrzyłem trochę z lekceważeniem na

taki zakład jak mleczarnia. Ale ta praca nauczyła mnie pokory; nasycenie sprzętem, urządzeniami, wirówkami, agregatami chłodniczymi, pompami, wodą lodową, mlekiem, całym szeregiem maszyn, które musiały być na bieżąco utrzymane, gdyż parę godzin awarii i mleko [było] skwaśniałe (trzeba by to wyciągać łopatami z tanko-silosów). Tak że nie żałuję tego okresu, że tam pracowałem. Szefa miałem takiego... On nie robił żadnych kłopotów. Nazywał się Kozłowski Zdzisław, dzisiaj jest kierownikiem Izby Wyrzeźwień w Koninie. A przedtem był w mleczarni. Mówi: „Ja jestem zobowiązany informować służbę bezpieczeństwa o wszystkim, co Pan robi, od godz. 7 do 15. Proszę mi nie utrudniać wykonywania tego zadania.”. Jak rozmawiałem telefonicznie, potrafił do mnie podejść, zabrać słuchawkę i sprawdzić z kim rozmawiam. Mówi: „Ja tak muszę robić, bo oni ode mnie tego wymagają.”.

Czyli był Pan już raz notowany i cień tego internowania na Panu pozostał?

To trwało długo, ale potem wyłądownałem w Najwyższej Izbie Kontroli. Jeszcze wcześniej miałem taką ciekawą pracę, pracowałem w Inspektoracie Gospodarki Materiałowej w Bydgoszczy. Były takie cztery inspektoraty w Polsce – Katowice, Bydgoszcz, Lublin, Warszawa. Miałem pracę terenową polegającą na kontrolowaniu zużycia materiałów i surowców oraz prawidłowości zagospodarowania odpadów. Akurat dano mnie do przemysłu elektromaszynowego. Dobrze się na tym znałem, byłem zawodowo dobrze przygotowany, tak że uzyskiwałem duże sukcesy zawodowe. Dyrektorem tego Inspektoratu był były sekretarz ekonomiczny Komitetu Wojewódzkiego w Bydgoszczy, nazywał się Patyk. Wpierw mi wygrażał, mówił: „Żebyś ja wcześniej wiedział, co Pan jest za gagatek, to by się Pan nigdy tu do pracy nie dostał.”. Natomiast przekonały go moje efekty, jakie uzyskiwałem w pracy, bo były bardzo dobre. Aż doszło do tego, że tenże dyrektor Patyk wziął mnie na rozmowę i mówi: „Panie, a nie ma Pan takiego drugiego jak Pan?”. Ja mówię, że „mam takiego kolegę”. „A on też by mi tu tyle naznosił?” Ja mówię: „Tak sądzę, Panie dyrektorze.”. „To go Pan przyprowadź!” No i ja miałem kolegę, Leopolda Skórkę, z zawodu filozofa. Skończył filozofię na KUL-u, ale też znalazł się w niełaskach, bo prowadził się z Szeremietiewem i innymi, i podpadł. W każdym razie wyłądownałem jako nastawniczy w budce kolejowej. Jak to się nazywa? Chyba dyspozytornia kolejowa. Też dość długo nie mógł dostać pracy. W końcu mu dali tę robotę w tej nastawni. On miał też taką skłonność, troszeczkę lubił sobie golnąć. I ta jego żona, bardzo miła osoba, polonistka, nauczycielka, mówi: „Paweł, jakby tak szło coś Poldziowi załatwić, jakąś inną robotę, bo jak on idzie do pracy, to ja się tak denerwuję, czy on jakiejś katastrofy kolejowej nie spowoduje. Bo on się przecież nie bardzo zna.”. No więc ja mówię temu Patykowi, że mam takiego kolegę. „To go Pan przywieź!” Przywiozłem i przeszkoliłem tego Poldzia, i mówię: „Ty mu przytakuj, nic mu tam nie oponuj, powiedz, że wszystko zrobisz, on i tak nie wie, o co cię pytać.”. Ale personalnie to go umiał wypytać, jak się nazywa itd. I mówi: „A jaki Pan ma zawód?”. A Poldzio mówi: „Filozof”. A on się szybko zorientował i mówi: „I jeszcze pewnie po KUL-u?”, a Poldzio mówi: „Tak, po KUL-u.”. „Niech was szlag trafi.” A do mnie: „Panie Pluta, czy on też tyle samo przyniesie?”. Ja mówię: „Panie dyrektorze, ja gwarantuję.”. I go zatrudnił. I faktycznie, ja mu udzielałem wskazówek, Poldzio kary wlepił ile weszło, Patyk zadowolony. Nie wiem, czy gospodarka miała się przez to lepiej?

Czy wrócił Pan do jakiejś działalności opozycyjnej?

Opozycyjnej? Nie! Człowiek myślał swoje, robił swoje, ogona nie podwinał, z podniesionym czołem chodził. W każdym razie, jak na ulicy w Koninie widziałem ubeka, szedłem z synem, to potrafiłem powiedzieć: „A to jest ubek, należy się nim brzydzić”.

Jak Pan ocenia dzisiaj PRL?

W różnych okresach było różnie. Ja tego najgorszego okresu peerelowskiego, czasów stalinowskich, nie pamiętam. Pamiętam już trochę późniejsze czasy. Do szkoły, do jednej klasy, chodziłem na przykład z córką szefa powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, a wtedy w początkach lat 60 o bezpieczeństwie, to tyle akurat wiedziałem... Różni byli koledzy. Jedni byli lepiej wyedukowani politycznie przez rodziców, inni, tak jak ja, trochę mniej. W każdym razie ta edukacja polegała na tym, że, jak się dopytywałem rodziców - „a kim jest tatuś Wiesi?“, to rodzice odpowiadali: „Mów, że detektywem! Tak należy mówić i w ogóle lepiej nie rozmawiaj na ten temat.“. Tak byłem wyedukowany. Potem coraz więcej, o Armii Krajowej... Pamiętam Horyzonty Techniki, 57- 58 rok, zaczęły się ukazywać jakieś artykuły ze wspomnień oficera AK. Potem już rozróżniałem, co to jest AK, a co BCH, co Gwardia Ludowa, co kto robił. Ja jeszcze pamiętam żołnierzy sowieckich, którzy prawie w każdym miasteczku stacjonowali.

Jak Pan ocenia zmiany do jakich doszło po 89 roku?

Generalnie korzystnie. Dobrze, że te zmiany nastąpiły. Tylko szkoda, że tak późno, że ten okres po stanie wojennym to tylko zahamował. Zawsze mówiłem, że stan wojenny to był największy zamach terrorystyczny na wolne społeczeństwo. Myśmy zaczęli już normalnie myśleć, oddychać, działać, a przez stan wojenny to ograniczono. A potem się nic nie działo. A można było już reformować, zmieniać. Stracony czas.

Porozmawiajmy na koniec chwilę na temat obecnej Pańskiej sytuacji. Czy mieszka Pan sam, czy z rodziną? Czy dzieci się usamodzielniały?

Dzieci to już dawno. Jedna wnuczka [ma] trzynaście lat, druga... Bardzo fajnie się chowają. Chodzą do szkoły sportowej. Są pływaczkami. Dobrze się rozwijają, mądre dziewczynki. I bardzo dobre świadectwa. A syn - dziesięć lat czekałem u syna na wnuka. Po dziesięciu latach małżeństwa w końcu urodził się wnuk. Jestem bardzo zadowolony, bo też bardzo fajny, udany dzieciak. Dobrze się rozwija. Syn jest fizykiem, najstarsza córka jest prawnikiem. Mężatka. Mąż, też po studiach, pracuje w fabryce gumy do żucia, gdzieś tam w logistyce tej firmy... Natomiast córka prowadzi własną działalność kancelaryjną. Najmłodsza córka jest po psychologii, tu na Uniwersytecie w Poznaniu. Zresztą wszyscy kończyli Uniwersytet w Poznaniu. Jest psychologiem, pracuje w szkole średniej, w liceum ogólnokształcącym w Bolechowie pod Poznaniem. Bardzo chce się tam zajmować terapią uzależnień. Pokończyła jakieś specjalistyczne kursy. Ja ją namówiłem na podyplomowe studia na Akademii Obrony Narodowej w Warszawie i skończyła tam zarządzanie kryzysowe czy coś takiego.

Gdzie Pan obecnie mieszka? W Koninie?

W Koninie, a pracuję w Poznaniu. Przez wiele lat dojeżdżałem codziennie 100 km z Konina do Poznania. To trwało długo, wiele lat. Od paru lat trudno mi jest dojeżdżać. Dlatego mieszkam w Poznaniu, na ulicy Mielżyńskiego 19, w samym centrum miasta. Mam stosunkowo blisko do pracy, a w piątki wyjeżdżam do Konina. Tam mam taki domek po rodzicach, z którym jestem bardzo emocjonalnie związany, o który dbam, staram się i to jest takie gniazdo rodzinne. Tam też chętnie przyjeżdżają dzieci.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.